

Chrzest niemowląt i liberalne myślenie

Brandon McGinley

Ostatnimi czasy wraz z moją rodziną często uczestniczymy w obrzędach chrztu św. Wśród naszych przyjaciół jest wiele młodych katolickich rodzin z małymi dziećmi. Rzadko mija kilka miesięcy, żebyśmy nie zostali zaproszeni i nie spędzili parunastu minut pośród innych gości zgromadzonych wokół chrzcielnicy.

Kiedy po raz pierwszy byłem świadkiem chrztu w formie nadzwyczajnej, zaskoczyła mnie jedna z jego cech charakterystycznych, a mianowicie to, że rodzice są tutaj w zasadzie widzami. To rodzice chrzestni trzymają dziecko i w jego imieniu przyjmują wiarę i wynikające z niej zobowiązania. Obrzęd pięknie symbolizuje to, w jaki sposób wspólnota chrześcijańska bierze odpowiedzialność za związek z Panem ustanowiony przez sakrament. Pokazuje też rozwiązanie jednego z pozornych paradoksów chrztu niemowląt. Sakrament jest konieczny do zbawienia, choć te dzieci nie są jeszcze w stanie ani zrozumieć, ani wypełnić obowiązków, które chrzest implikuje.

W swoich obrzędach i teologii chrzest niemowląt wyraźnie pokazuje, że charakter naszej więzi z Bogiem i Jego Kościołem jest niezrozumiały dla indywidualistycznych i woluntarystycznych dogmatów współczesnego liberalizmu. Była prezydent Irlandii, Mary McAleese, zwróciła na to ostatnio uwagę bez owijania w bawełnę:

Uznane w świeckim społeczeństwie prawa do wolności religii, sumienia i myśli, a także wolności zmiany religii lub całkowitego jej porzucenia nie są uznawane w prawie kanonicznym. Wszystkie te wolności są podporządkowane wymogom obowiązkowego posłuszeństwa nauczaniu Kościoła (Magisterium), obowiązkowi zachowania jedno-

ści z Kościołem i twierdzeniu, że ktoś „raz ochrzczony pozostaje chrześcijaninem na zawsze”.

Świeżo upieczona doktor prawa kanonicznego – w sposób trudny do wyjaśnienia uzyskała ów stopień za swoją pracę na ten temat na Papieskim Uniwersytecie Gregoriańskim – dodaje, że Kościół „nigdy nie rozważył etycznych, prawnych i moralnych konsekwencji narzucenia dożywotniego członkostwa w Kościele i związanych z tym obowiązków na dziecko, które nie jest w stanie rozeznąć wynikających z tego konsekwencji”.

To oczywisty nonsens. Niewiele rzeczy Kościół rozważył głębiej niż zasady i praktykę formowania chrześcijan tak, aby mogli rozpoznać i przyjąć swoje wieczne przeznaczenie. Stwierdzenie McAleese w istocie oznacza, że Kościół nie dostosował swojego rozumienia chrztu i członkostwa w Ciele Chrystusa do współczesnego, liberalnego rozumienia autonomii jednostki.

W tym miejscu McAleese bezwiednie dotyka czegoś znacznie głębszego. Kościół przez ostatnie kilka dziesięcioleci (a w Ameryce nawet dłużej) usiłował pokazać opinii publicznej, że pozostaje w zgodzie z liberalnymi zasadami, robiąc np. takie rzeczy jak właśnie nadanie Mary McAleese doktoratu z prawa kanonicznego. Jednocześnie Kościół próbował radykalnie zabezpieczyć „religijne” aspekty swojej misji od ingerencji. Oto pierwszy z brzegu przykład. Watykan z entuzjazmem podpisał się pod Konwencją ONZ o prawach dziecka z 1989 r. Kiedy dwadzieścia pięć lat później oenzyklopedyczny Komitet ds. Prawa Dziecka zakwestionował zgodność prawa kanonicznego z tą Konwencją, Watykan z zakłopotaniem wydał oświadczenie odrzucające ten zarzut.

Oczywiście Rzym słusznie się sprzeciwił. Pojawia się jednak pytanie: a czego się spodziewał? Nauczanie o chrzcie i wynikających z niego obowiązkach w oczywisty sposób narusza prawa dzieci (a w tym zakresie także dorosłych) w tym znaczeniu, w jakim rozumie je liberalizm. Pieczęć chrztu czyni nasze dusze szczególną własnością Boga. W tym świetle każde liberalne rozumienie praw i autonomii jednostki albo traci swoją spójność, albo musi zostać całkowicie zdekonstruowane. Zbawczy porządek kosmosu może być wyłącznie nieliberalny.

Gambit, który Kościół chciał zastosować, miał polegać na przyjęciu założeń liberalizmu wobec świata na zewnątrz, pozostając wewnętrznie wiernym nieliberalnemu Bożemu porządkowi. Wyzwania, jakie niosą postawy reprezentowane np. przez McAleese, grożą rozbiciem tego systemu i dlatego pierwszą linią obrony katolików jest na ogół przyjęcie retorycznej konwencji liberalizmu i protestowanie przeciwko uprzedzeniom lub nietolerancji.

Ta strategia miałaby sens tylko wtedy, gdyby Kościołowi udało się skutecznie zadomowić wewnątrz liberalnego porządku z zachowaniem swojej integralności. Tak się jednak nie stało. Przeciwnie – to liberalne myślenie wszelkimi możliwymi porami przeniknęło do rozumienia przez wiernych Boga i Jego Kościoła.

Spójrzmy na dzisiejszą praktykę chrztu. Katoliccy rodzice rutynowo czekają miesiące lub lata na chrzest swoich dzieci. Rola rodziców chrzestnych w przekazie wiary została zredukowana do jednorazowego, czysto honorowego występu. Katecheci opowiadają o rodzicach wysyłających swoje dzieci na katechezę, ale niechodzących z nimi ani nieposyłających ich na Mszę św. Sakramenty są powszechnie postrzegane jedynie jako swego rodzaju rytuały przejścia, inicjujące kolejne etapy życia, Kościół jako wyłącznie jedno z wielu dobrowolnych stowarzyszeń, a Bóg jako wesoły, ale trochę namolny dziadek, przed którym chronią nas pewne prawa, takie jak prawo, aby nie przejmować się Nim i nie być przez Niego niepokojonym.

Zamiast rzucać gromy na Mary McAleese, powinniśmy jej podziękować. Wprost powiedziała to, co przez pokolenia nazbyt wielu obawiało się powiedzieć w Kościele. Porządku sakramentalnego nie da się uzgodnić z liberalnymi pojęciami wolności i autonomii. Te oznaki narastających sprzeczności powinny być dla nas źródłem nadziei i nowej wolności w budowaniu rodzin, wspólnot i społeczeństw, które obietnice złożone przy chrzcie św. traktują na poważnie. ■

Tłum. Piotr Chrzanowski

Tekst pierwotnie ukazał się na portalu First Things.